№ 47. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 9 (21) Listopada 1891 r.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

SIELANKA.

Chodź, fujarko wykręcona z wierzbiny!
Niech popłynie pieśń przez lasy, doliny;
Wezmę echo gdzieś drzemiące tam w borze,
Pieśń omdleje — ono skończyć pomoże.

Ot! już słonko zmienia szat swych kolory,
Staw posrebrza, rzuca złoto na bory!
Spada niżej, świeci coraz ogniściej
I krwią patrzy przez szumiących olch liści.

Zaterkotał młyn gderliwy — kół żebra
Oplątała wstążka jakaś ze srebra,
W szklane nici, w perły białe rozpryska,
Wciąż się zwija, wciąż się kłębi, wciąż błyska!

Pociemniało stawu senne zwierciadło,
Z cichych niebios kilka dużych łez spadło —
Lilie wodne swe kielichy stuliły,
Dar niebieski, srebrną rosę ukryły.

Zaszło słońce za dalekie dąbrowy,
Jeno piasek zostawiło różowy,
Jakby jasne, niezatarte wspomnienie,
Że tu było, lało złote promienie.

Zbudź się echo!... ale echo milczące —
Wróć się słońce!... ale zgasło już słońce!
Mgły niedobre posnuły się doliną...

Kazimierz Gliński.

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

OBRAZEK

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dalszy ciąg.)

— A także gęba zębata, niech cię las trzaśnie!

— Wielmożny panie — odrzekł Walenty, — żeby wilk zębów nie miał, toby go dawno psi zjedli.

Dziwirejko chłopa po ramieniu uderzył.

— A ja takich lubię — rzekł, — co się zjeść w kaszy nie dadzą. Jak tobie imię, bracie?

— Walenty, wielmożny panie.

— Ładnie, ładnie. No, Walenty, a dlaczego tu żyto lepsze niż tam przy drodze? — zapytał.

— Bo na łubinie siane.

— Patrzaj go, na łubinie, pod łubin uprawiać i pod żyto uprawiać, i łubin siać i żyto siać, a tylko żyto zbierać. Jakiż to u was rachunek?

— Żyta, panie, w dubelt.

— Aha! jak raz, policzyłeś może.

— Juści, rachowało się.

— Pszenicy wysiewać tu można po sto korcy? Prawda? — mówił dalej, śmiejąc się.

— Choćby cebulę sadzić, wielmożny panie, ziemia cierpliwa nie wyrzuci.

— Marny folwark, panie dziedzicu — rzekł po chwili Dziwirejko, do pana Michała się zwracając,— figa suszona i tyle, a drogo, dalibóg obrzydliwie drogo! Wy tu, pod Warszawą, niedługo ziemię na funty sprzedawać zechcecie!

— Wielmożny panie — odezwał się Walenty, — ziemię jak ziemię, ale drzewo to w Warszawie już na funty sprzedają.

— Nie może być!

— W samej rzeczy—potwierdził pan Michał, — na funty.

— Komedya czysta! Tyle lat żyję, nie słyszałem, tylem lasu już sprzedał, nie słyszałem... Dawniej na morgi liczono, później na sztuki, na sążnie, Niemcy nową miarę zaprowadzili: kubiki, a teraz patrzaj-że, na funty! Także miara! Herbata na funty, tabaka, rozumiem, a oni drzewo! Co kraj to obyczaj.

Dziwirejko ciągle mówił, a oka z zagonów nie spuszczał, coraz to przystanął, grudkę ziemi podniósł, w palcach ją rozkruszył, badał...

Kiedy się trochę naprzód wysunął, pan Michał szepnął do Walentego.

— Jak myślisz? kupi, nie kupi?

— Chyba że nie — odrzekł, kręcąc głową, Walenty.

— Dlaczego?

— Zna się, wielmożny panie.

— O! proszę!

Łąkę szczególniej pilnie Dziwirejko badał, a nad rzeczką długo stał, listki z olszyny obrywał i na wodę rzucał.

Walenty uśmiechał się nieznacznie; dostrzegł to szlachcic.

— Aha, śmiejesz się, ciwunie, myślisz sobie: zpod Suwałek ciarach przyjechał i bawi się nad wodą jak dziecko... prawda?

— Ale zaś!

— A widzisz, Walenty, ty mądry niby chłop, a głupi. Listek pokazuje jak prędko woda bieży, a woda pokazuje, czy tu warto młynek postawić. Dużo u was w okolicy młynów?

— Wiatraków kilka jest.

— A wodnych?

— Nic w blizkości niema.

— Ot widzisz, skoro niema, to tu byłby akurat. Młynek porządny, z pytlem, z kaszownikiem, co?

— A juści, może i dobrze. Ludziom mąki i kaszy zawsze potrzeba, na taki jenteres naród chciwy.

— A do miasteczek od was daleko?

— Niebardzo, najbliższe pół mili drogi.

Dziwirejko czoło marszczył, kombinował. Wracali do dworku naokoło, granicą, pan Michał, zmęczony spacerem po zagonach i piasku, już ledwie nogi wlókł za sobą. Gdy przyszli do domu, został na werandzie, polecił Michałowi, aby budynki i inwentarz pokazał.

Bardzo troskliwie i szczegółowo oglądał kandydat na nabywcę całą marysińską chudobę. Każdemu koniowi w zęby zajrzał, każdej krowie policzył pierścienie na rogach. Nareszcie skończywszy ten przegląd, powrócił na werandę, usiadł obok pana Michała i fajeczkę zapalił.

— No, panie — rzekł, — spocząć trochę można?

— Ależ proszę, serdecznie.

— Pan gospodarz? — zapytał.

— Nie, panie.

— No, ochota była leźć w ten piasek. Co pan tu zrobi? Pieniędzy utopi coniemiara, a będzie z tego dudek na kościele. Kto pana do tego namówił?

— Wspomniałem już, że byłem zmuszony.

— Jabym się nie dał, choćby przymuszali; krzyczałbym gwałtu, a nie dał się.

Pan Michał uśmiechnął się kwaskowato, rad był już jaknajprędzej pozbyć się tego gościa, ten jednak wcale do odjazdu nie myślał się zabierać. Pragnąc raz nareszcie kwestyą jasno postawić, zapytał wprost:

— Więc, według pańskiego zdania, o sprzedaży tego mająteczku niema co mówić?

— Dlaczego nie, mówić to można.

— Ale sprzedać nie?

— Widzi pan i sprzedać można... ale... ot, posłuchaj pan dobrodziej, my pogadamy. Kto wie, może ja kupię, dla siebie nie, ale dla kogoś. Może kupię, tylko nie przepłacę; nie z takich ja, co przepłacają. U mnie pieniądz dużo wart, rzucać go nie lubię naprożno. Ja tu przyjadę za tydzień.

— Więc decyduje się pan stanowczo?

— Nic ja nie decyduję, tylko przyjadę. Panu chodzi, wiem o co panu chodzi; może się inny kto trafi, podoba mu się, zapłacić zechce drożej, owszem, niech pan nie krępuje się, proszę sprzedać, no, a jeżeli się nie trafi, to ja kandydat.

Panie, zaciekawione o czem tak długo gość nieznany konferuje, wyszły na ganek; pan Michał im Dziwirejkę przedstawił. Wobec kobiet szlachcic ten całkiem się zmienił, już nie szydził z Marysina i na uprzejmość się silił. Z panny Jadwigi oka prawie nie spuszczał.

— Jakże się panu podobał nasz mająteczek? — zapytała pani.

— Niczego, niczego, pani dobrodziejko, jak pod Warszawą, wiadomo że nie stepy.

— Ja bardzo żałuję, że go sprzedać musimy.

— I ja również — dodała panna Jadwiga, — tu jest bardzo ładnie. Czy pan, w razie nabycia Marysina tu zamieszka?

— O nie... i prawdę powiedziawszy, gdybym go nabył, to także nie dla siebie. Mogę powiedzieć całą prawdę. Ja drugi raz żonaty. Pierwsza żona, dobra kobieta, umarła, zostałem sam, dzieci drobne, cóż było robić, ożeniłem się powtórnie. Trafiła się wdowa, młodziutka z jednym synkiem, znaczy prócz swoich dzieci i pasierb mi przybył. Ciecierski on, Stasio, w Warszawie urodzony. Chował się u nas, potem go do szkół oddałem, chodził do Warszawy, skończył pięknie jak się należy z patentem. Bardzo do gospodarstwa miał chęć, posłałem go na praktykę do dobrych gospodarzy. Cztery lata w kraju, dwa w Prusach, dosyć. Teraz chłopcu dwadzieścia cztery lata, czas na swój chleb. Fundusz on ma, po ojcu, tysięcy piętnaście, niewiele. Zamojszczyzny za to nie kupi, Radziwiłłowszczyzny także, trzeba czego małego poszukać. On koniecznie uwziął się pod Warszawę, pod Warszawę koniecznie, mówi że to dla niego pole. Kiedy koniecznie, to koniecznie, pojechałem szukać, akurat kuryer wpadł mi do ręki, no, i przyjechałem. Zobaczyłem ja, a teraz, jeżeli państwo pozwolą, niech on zobaczy.

— Ależ owszem, prosimy!

— U niego kombinacye swoje, wyrachowanie... Może mu się podoba... młody jest, niech pracuje, niech stara się.

Rozmowa zeszła na inne przedmioty, potem Dziwirejko do powrotu się zabierał. Pani Michałowa, zawsze gościnna, zatrzymała szlachcica.

— Czemu się pan śpieszy? Do ostatniego pociągu jeszcze kilka godzin, niech pan zostanie na herbacie, chyba że pan chce wieczór w Warszawie przepędzić.

— A cóż mnie Warszawa!

— Może się pan do teatru wybiera?

— Nie amator ja teatru.

— Czy być może?

— Komedya także... udanie. To dobre dla młodych. Staś na przykład, on to amator.

— Któżby teatru nie lubił?

— I ja bywało zamłodu lubiłem, teraz nie, stary jestem, spracowany, nie ochota do zabawy. Trzydzieści parę lat przy roli, na dorobku, jak koń lub mół przy pługu. Dzieci dużo, samych córek pięć, posagi trzeba zbierać.

— Pięć córek?!

— Siedm było, pani dobrodziejko, dwie Pan Bóg zabrał, a synów czterech było i czterech jest. Pasierbek także się liczy jak za własne dziecko; on chłopiec dobry, wart tego...

— To ma pan dobrodziej o czem myśleć.

— A jakże... dziewczyny na wydaniu, Cecylia, Zofia, Michalina, Konstancya, tylko jedna Basia jeszcze podlotek...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HYGIENA

Poznawszy stronę mechaniczną i chemiczną tak ważnej dla życia naszego sprawy oddychania, musimy teraz zapoznać się bliżej z powietrzem atmosferycznem, z którego płuca nasze czerpią tlen, podtrzymujący przemianę materyi w naszym organiźmie.

Każdy człowiek, chociażby się wcale nie znał na fizyce i chemii i wcale się nie interesował sprawami hygieny, zna się jednak na tem, co należy rozumieć pod słowem „dobre powietrze," „złe, zepsute powietrze."

Nauka wyjaśnia nam, od czego zależy dobroć powietrza i jakie zmiamy składowe zachodzą w niem wtedy, gdy się staje złem, zepsutem i do oddychania niezdatnem.

Powietrze atmosferyczne, otaczające ziemię, jest mieszaniną, która na 100 części zawiera:

20.6 tlenu
78.4 azotu
1.0 pary wodnej,

oprócz tego bardzo małą ilość kwasu węglanego (około $^3/_{100}\%$), ślady ozonu, dwutlenku wodoru, amoniaku, kwasu azotnego i t. p.

Ilość każdego z tych składników, zależnie od czasu, miejsca, kierunku wiatrów i t. p., może się powiększać lub zmniejszać w nieznanym stopniu, tak że stosunek tlenu do azotu zostaje stałym. Zmienia się zato w powietrzu ilość kwasu węglanego i pary wodnej w szerszych daleko granicach, oraz innych gazów, które nie są prawidłową częścią składową powietrza, lecz znajdują się w niem jako domieszki przypadkowe, zależne od spraw gnicia, fermentacyi, palenia i innych.

Azot powietrza atmosferycznego nie ma żadnego znaczenia przy oddychaniu. Ważniejszym jest *ozon*, gaz będący pewną modyfikacyą tlenu a posiadajacy silne własności utleniające, oraz *dwutlenek wodoru*, jakkolwiek oba te ciała pod względem hygienicznym nie mają wielkiego znaczenia dla organizmu. Pośredni wpływ hygieniczny ozonu polega na tem jedynie, że pod jego działaniem ginąć mogą drobne ustroje chorobotwórcze, lub ich zarodki znajdujące się w powietrzu. Pod ich bowiem wpływem ozon się rozkłada, obecność przeto ozonu dowodzi nieobecności tych szkodliwych dla zdrowia naszego pasorzytów, a zatem jest miarą czystości powietrza.

Ważnym składnikiem powietrza jest *kwas węglany*, którego ilość nie może przekraczać pewnych granic, poza któremi powietrze staje się złem, zepsutem, do oddychania niezdatnem i szkodliwem nawet.

Ilość kwasu węglanego w powietrzu wynosi zwykle $^3/_{100}$ na sto części. Każdy człowiek przy oddychaniu wydziela wciągu jednej godziny 22 litry kwasu węglanego; oprócz tego tworzy się on przy paleniu, a szczególniej obficie w okolicach fabrycznych i przemysłowych, gdzie zużytą zostaje wielka ilość drzewa lub węgla kamiennego. Dlatego to miasta fabryczne mają powietrze ciężkie, przesycone kwasem węglanym. Nakoniec gaz ten powstaje

przy gniciu i butwieniu i dobywa się nad powierzchnię ziemi z kopalni, wulkanów i innych zbiorowisk naturalnych, znajdujących się pod ziemią.

— Cóż się staje z tą olbrzymią ilością kwasu węglanego, który dostaje się do powietrza z tylu i tak obfitych źródeł?—zapytacie, szanowne czytelniczki.

Wistocie obecność jego ciężko musiałyby odczuwać nasze płuca, gdyby nie ta okoliczność, że, o ile go przybywa, o tyle zostaje on zużyty. I tak, większa część kwasu węglanego rozłożoną zostaje przez rośliny, które zeń pochłaniają węgiel, a wydzielają tlen; poczęści deszcz i śnieg pochłaniają pewną jego ilość; nakoniec woda morska zużytkowywa także porządną porcyą tego gazu dla wytworzenia soli węglanów, które się w niej znajdują w roztworze.

Natura więc, jak widzicie, szanowne panie, jest owym wielkim i cudownym chemikiem, który zaprowadza równowagę, tworzy związki nieszkodliwe ze szkodliwych i utrzymuje powietrze atmosferyczne w takim składzie, aby płuca nasze mogły niem oddychać. Wiatry również, mieszając składowe części powietrza, przyczyniają się niemało do utrzymania równowagi, tak że na miejscach otwartych ilość kwasu węglanego prawie się nie zmienia.

W okolicach lesistych znajdujemy nawet cokolwiek mniej kwasu węglanego w powietrzu, ponieważ drzewa pochłaniają go i rozkładają.

W okręgach fabrycznych, w okolicy bagnisk, wczasie ciszy, ilość kwasu węglanego zwiększa się nieznacznie.

Wyobraźmy sobie jednak przestrzeń zamkniętą, w której płuca ludzkie, oświetlenie, lampy, beki gazowe i t. p. zużytkowują tlen powietrza i wytwarzają kwas węglany. Okna i drzwi zamknięte nie dopuszczają świeżego powietrza; tymczasem to, które się znajduje, staje się z każdą chwilą uboższe w tlen, a bogatsze w kwas węglany.

Ciężko nam wtedy oddychać, czujemy ciężar na piersiach, „brak powietrza,” ból głowy, mdłości i osłabienie. To właśnie zwiększona ilość kwasu węglanego wpływa na nasz organizm tak szkodliwie; to inne gazy, jak tlenek węgla, węglowodór, siarkowodór, amoniak i t. p., które jednocześnie z kwasem węglanym powstają, utrudniają oddychanie.

Otwórzmy okno, niech świeże powietrze owionie twarz naszę, zaraz oddychanie stanie się łatwiejszem, powietrze się odświeży, trujące gazy prąd wiatru rozwieje.

Dłuższy pobyt w przestrzeniach zamkniętych a źle przewietrzanych bardzo jest dla zdrowia szkodliwy.

Płuca nasze po pewnym czasie mogą się przyzwyczaić do zepsutego powietrza, tak, że nie odczuwamy narazie wielkiej przykrości.

Wpływa to jednak szkodliwie na zdrowie, na tworzenie się krwi, na rozwój ciała; wywołuje małokrwistość i wyradza skłonność do chorób płucnych, a nawet choroby płuc, przekrwienia, katary, zapalenia i suchoty.

Dlatego to odnowa powietrza w mieszkaniach, w fabrykach, w szkołach i wogóle we wszystkich miejscach, gdzie się zbierają ludzie, jest konieczną i potrzebną.

Dopływ świeżego powietrza może być ułatwiony przez otwieranie okien, palenie w piecach, lub zapomocą tak zwanych *wentylatorów*, które, działając ciągle, wyprowadzają na zewnątrz zużyte powietrze i dostarczają na to miejsce świeżego.

Wentylacya przeto wielkie ma znaczenie pod względem hygienicznym. Wentylacya miejsc publicznych, świątyń, teatrów, szkół, sal koncertowych i t. p. jest niezbędnym warunkiem dla zdrowia osób, które w licznem towarzystwie w miejscach tych parę godzin zrzędu przepędzają.

Wiadomo wam, szanowne panie, zapewne, że teatry nasze po przebudowie otrzymały nową wentylacyą. Czujecie błogie jej skutki, oddychając swobodnie cały wieczór na operze lub komedyi, lecz nie wiecie jak kosztowne jest urządzenie i w jaki sposób zapewniony jest dopływ świeżego powietrza. Zresztą należy to do inżynieryi i budownictwa, które hygiena zużytkowywa do swoich celów.

Równie ważnem a nawet ważniejszem jest przewietrzanie naszych prywatnych mieszkań, ponieważ w nich spędzamy większą część życia, tak przy pracy dziennej, jak i wczasie nocnego spoczynku. To przewietrzanie jest obowiązkiem każdej gosposi, która, dbając o piękne umeblowanie domowego zacisza, powinna się starać, aby powietrze w niem było odnawiane zapomocą wentylatorów, lub przez otwieranie okien.

Szczególniej w miastach, gdzie fabryki, kanały, ścieki wydzielają nieustannie gazy szkodliwe, gdzie kuchnia łączna z mieszkaniem, nie zawsze czysto utrzymana, przez gnicie odpadków gospodarczych ciągle psuje powietrze w mieszkaniu, przewietrzanie dokonywać się winno bardzo starannie, tem staranniej, że w miastach mieszkania nasze nie zawsze są dosyć obszerne, często ciasne, nizkie, ciemne i wilgotne.

Kiedy powietrze jest zepsute, każdy z nas zapomocą własnego nosa ocenić może. Jest to najlepszy probierz zepsutego powietrza, tam bowiem, gdzie chemicznym sposobem nie możemy wykryć obecności szkodliwych domieszek gazowych, powonienie nasze wskazuje nam, że one się w powietrzu znajdują.

Tak w blizkości fabryk czujemy w powietrzu obecność węglowodoru, siarkowodoru, kwasu siarczanego, chloru, kwasu solnego; gazy gnilne wydobyjące się przy gniciu odpadków gospodarczych, nawozu, przy moczeniu lnu i konopi, przy gniciu obrzynków buraków, jak to ma miejsce w blizkości cukrowni, rozpoznajemy również zapomocą powonienia.

Jakież jest znaczenie hygieniczne tych szkodliwych domieszek gazowych, znajdujących się w powietrzu atmosferycznem?

Obecny stan nauki dostatecznie nam na to pytanie nie odpowiada. Wiemy że powietrze cuchnące wywołuje nudności, utratę apetytu, mdłości; oddychanie staje się powierzchownem, a jednocześnie występuje uczucie obawy i niebezpieczeństwa. Objawy te przypisywano dawniej gazom trującym, lecz ilość ich w powietrzu jest zbyt mała, aby wywołać mogły tak wielkie zaburzenia. Przypuszczano dalej, że zaburzenia te odnieść należy do nieznanych nam gazów trujących i możliwości tej zupełnie wykluczać nie należy.

Nie ulega jednak wątpliwości, że gazy złowonne szkodliwie na zdrowie wpływają, lubo z drugiej strony przyznać należy, że płuca ludzkie mogą się zczasem przyzwyczaić do oddychania zepsutem powietrzem, tak że na razie nie wywołuje ono żadnych zaburzeń, jak mdłości, zawrót głowy i t. p.

W życiu codziennem liczne spotykamy tego przykłady, tak w fabrykach, gdzie pomimo starannego przewietrzania powietrze łatwo się zanieczyszcza, jak i w mieszkaniach ludzi ubogich, w których przy braku przewietrzania gromadzi się liczna częstokroć rodzina.

Oprócz przymieszek gazowych, spotykamy w powietrzu przymieszki stałe w niem zawieszone, które również dla płuc naszych są szkodliwe i dlatego poznać je należy.

Jest-to tak zwany kurz powietrzny, który się składa z grubych cząsteczek, z sadzy, z tak zwanych pyłków słonecznych i z nadzwyczaj drobnych, bo tylko przy pomocy mikroskopu widzialnych drobnoustrojów, które, jak wam, szanowne czytelniczki, wiadomo, często bywają przyczyną chorób i dlatego właśnie warto się z niemi zapoznać.

Kurz gruby widoczny jest gołem okiem. Tworzy się on szczególniej wtedy, gdy grunt jest na swej powierzchni suchy i łatwo się kruszy. Cząsteczki ziemi lub skał, uniesione przez wiatry, zostają zawieszone w powietrzu i opadają skoro wiatr ustanie, lub deszcz spadnie. Kurz taki składa się z cząsteczek kamienia, z piasku i gliny, zawiera niekiedy części roślinne, włosy, włókna odzieży, zarodki roślin, pyłek kwiatowy i t. p., a niekiedy zarodniki bakteryj i same bakterye.

W miastach fabrycznych powietrze przepełnione jest sadzą i dymem, który się składa z cząstek węgla i gęstych gazów (węglowodorów).

Pyłki słoneczne, które widoczne są tylko w promieniu światła słonecznego, składają się z drobniutkich cząsteczek wełny, bawełny i ciał organicznych, do których często przyczepiają się także zarodki grzybków pleśniowych, drobnoustroje i t. p.

Ilość kurzu, pyłków i zarodków grzybków pleśniowych rozmaita bywa w powietrzu. Pod tym względem powietrze wiejskie jest czystsze, niż powietrze miast, a w miastach jest powietrze gorsze, gdy miasto jest bardziej zaludnione i gorzej pod względem porządku utrzymane.

Toż samo bywa w mieszkaniach. Tam, gdzie skrzętna gosposia kilka razy dziennie każe kurze ścierać, wietrzy starannie każdy pokój, trzepie meble, pościel i wogóle zachowuje czystość, powietrze jest czyste, zawiera mało kurzu i wolne jest od bakteryj i ich zarodników.

Kurz powietrza, dostając się do płuc, wywołuje podrażnienie, katary, a niekiedy chroniczne zapalenia dróg oddechowych. Widzimy to u robotników pracujących w pewnych rzemiosłach (kamieniarze, węglarze i t. p.), którzy często ulegają chorobom płuc i oskrzeli. Jeżeli wraz z powietrzem wchodzą do płuc zarodniki drobnoustrojów chorobotwórczych, jak na przykład laseczniki gruźlicze, wtedy łatwo bardzo rozwinąć się mogą suchoty płucne, tem łatwiej, jeżeli do tej choroby istnieje usposobienie.

Nowsze jednak badania wykazały, że zarodniki chorobotwórcze, unoszące się w powietrzu, są albo niezdolne do życia i rozwoju, albo też siła ich żywotna, a więc i zdolność do zarażenia, bardzo jest osłabiona.

Dlatego to na wolnem powietrzu nie łatwo jest zarazić się przez wdychanie pyłu. Zdarzały się wprawdzie przypadki zarażenia ospą w blizkości szpitali ospowych. Zato bardzo łatwo można się zarazić oddychając powietrzem w pokoju, w którym chory na chorobę zaraźliwą przebywa lub przebywał. Tu bowiem zarazki chorobotwórcze, wydzielane przez chorego, unoszą się w powietrzu w stanie świeżym, czynnym. W ten sposób najłatwiej się rozszerza zaraza ospy, odry, szkarlatyny, dyfterytu, tyfusu i suchot płucnych; dlatego to chorzy na takie choroby powinni być oddzielani od zdrowych, a mieszkanie zajmowane przez nich należy utrzymywać w tem większej czystości.

Można się nawet zarazić jakąś chorobą za pośrednictwem przedmiotów, których chory używał, lub przez pobyt w mieszkaniu, w którem się chory znajdował.

Dlatego to mieszkanie i wszelkie przedmioty, będące w styczności z chorymi, należy poddać dezynfekcyi (pościel, odzież, książki, naczynia i t. p.), jeżeli mają służyć dla osób zdrowych.

Oddzielanie chorych od zdrowych i dezynfekcya po chorobie ważną jest szczególniej w domach mających dziatwę, która jest daleko wrażliwszą i łatwiej ulega zarażeniu wczasie epidemii chorób zaraźliwych.

D-r Al. Malinowski.

ODCZYTY.

I.

Cykl odczytów popularno-naukowych, przygotowujących się na zimowy sezon, zaznaczyła w sobotę w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa prelekcya profesora Samuela Dicksteina. Tematem jej była jedna z najmniej wdzięcznych, lecz zato może z najwięcej pożytecznych gałęzi wiedzy, matematyka, a właściwie mówiąc, rzut oka na jej dzieje, znaczenie i przyszłość.

O ile przedmiot jest suchy, bezbarwny i niewdzięczny, każdy z nas doświadcza, załatwiając przy pierwszym lepszym kontuarze codzienne potrzeby życia i mody; lecz o ile może być interesującą ta myśl przewodnia wszelkiej wiedzy, dowiódł nam szanowny prelegent.

Przedstawiwszy kolebkę tej umiejętności, zaznaczoną pierwszemi wysiłkami umysłu ludzkiego w tym kierunku, streszczającemi się w rachunkach, opartych tylko na zmysłach (liczenie na palcach, długość stopy i t. p.), pan Dickstein rozwinął cały ogrom wiedzy i, jak w kalejdoskopie, pokazał najnowsze zdobycze tego tytana.

Widzieliśmy rachunki naszych praojców, zachowane w gipsach odwiecznych mumij, wysiłki na tem polu Egipcyan i Greków, twórców algebry Arabów, Newton'a, Lejbnitz'a, Kartezyusza i przekonaliśmy się, że sucha ta gałęź nie jest zamarłym kryształem, lecz że z pnia tego rodzą się coraz to świeższe płody.

Właśnie taką najnowszą zdobyczą jest czwarty wymiar przestrzeni, którego teoryą starał się naszkicować prelegent. Czwarty wymiar, wieńczący złotą aureolą kapłankę prawdy, jest, mówiąc potocznym językiem, fikcyą matematyczną, podobnie jak teorya ujemnych ilości, wypływającą jednak z najzupełniej logicznej teoryi rzutów. Rzut daje się uzmysłowić cieniem, jaki bryła rzuca na daną płaszczyznę.

Sylwetki w rysunkach są właśnie takiemi rzutami. Otóż cieniem, czyli rzutem linii jest punkt, jeżeli tylko linia jest prostopadłą do płaszczyzny rzutów; rzutem płaszczyzny jest linia, a rzutem bryły jest płaszczyzna.

Są to prawdy codziennem doświadczeniem sprawdzone i istniejące faktycznie. Analogia pozwala nam wnioskować, że bryła jest rzutem, czyli sylwetką innych matematycznych wymiarów, stanowiących właśnie ten czwarty wymiar.

Jakkolwiek czwarty wymiar nie podpada pod nasze zmysły, jednakże w matematyce faktycznie istnieje, a wywody tego twierdzenia są najzupełniej konsekwentne i logiczne, co szanowny prelegent okazał, przedstawiając na zakończenie odczytu tablice rzutów tego wymiaru.

Barwny język, niezbędny przy omawianiu tak suchego przedmiotu, obrazowość wykładu, traktowanego w cokolwiek przyśpieszonem tempie, wywołały zasłużone dla prelegenta oklaski.

Br. Wyganowski.

DZIĘKI SZTUCE.

Na scenie Rozmaitości tydzień temu odegrano dwa utwory, z których drugi jest tylko farsą (oczywiście francuzką), bardzo wesołą i bardzo... wyuzdaną. Natomiast pierwszy, obrazek dramatyczny wyszły zpod pióra znakomitego poety czeskiego, Vrchlickiego, choć formą i obrobieniem słabszy, motywem jednak i tezą zaleca się bardzo uwadze jaknajliczniejszych słuchaczów.

Dotyka on bolesnej nad wyraz kwestyi samobójstwa.

Hrabianka, córka wielkiego rodu, dogasającego nieubłaganym trybem konieczności, którą nazwać się poważymy prawem dziejowem natury — chce młode dni swoje pogrześć w zamknięciu klasztornem. To jedno samobójstwo. A zaś drugie pragnie spełnić, już w ścisłem znaczeniu wyrazu, hrabia Wilhelm, jej kuzyn, ongi przeznaczony jej na męża, który jednak odszedł obojętny, niepragnący wcale związku wbrew woli własnej. Wychowywali się ci młodzi razem, znali się od dzieciństwa, przyjaźnili się w rozkwitającej życia wiośnie, a teraz są sobie obcy — przynajmniej tak im się zdaje. Skoro jednak Wilhelm dowiedział się o postanowieniu hrabianki, śpieszy z oddalenia, aby wpływem swoim od samobójstwa ją odwieść.

Dlaczegóż ta panna wielkiego domu, pieszczocha losu, wykształcona, szlachetna, dobra, chce umrzeć? Rok temu właśnie zginął od kuli własnej jej brat rodzony, a teraz ona ma rzucić starego, zrozpaczonego ojca! Biedak ten nie wie nawet, za co ten drugi cios runąć ma mu na osiwiałą głowę.

Wilhelm zjawia się. Mniejsza o to, że szuka dosyć niezręcznie pozorów do rozmowy samnasam z hrabianką — rozmowa to jest dobra, wstrząsająca i — przekonywająca. A że napisał ją poeta, więc dał jej woń poetyczną, dał pochodzenie z serca, dał siłę uniesienia. I oto główna zaleta sztuki, dzięki której wchodzimy tu *ad rem*, bierzemy za przedmiot kwestyą samobójstwa.

Ma słuszność Wilhelm, twierdząc że samobójstwo rodzi się z pogardy dla życia, a ona z pesymizmu, a zaś pesymizm idzie z samolubstwa. Nie umiera ten dobrowolnie, kto kocha. Miłość jest tylko źródłem życia, ale nie śmierci. Nie brzydnie życie temu, kto ma poza sobą cel istnienia, ukochania i ofiary. Zabijają się jedynie szaleńcy, egoiści lub tchórze. Ma słuszność i wtedy, kiedy twierdzi, że życie, w każdem położeniu, ma jeszcze bardzo dużo powabów, które protestują przeciw samolubnej ucieczce. A na dowód tego opowiada zdarzenie, jakie mu się przytrafiło — drobnostkę, przypadek bardzo zwykły i powtarzający się cochwila nieledwie.

Oto szedł pewnego razu na jakieś przyjęcie, z ogromnym bukietem fijołków parmeńskich w ręce, gdy jakieś ubożuchne dziewczątko zastąpiło mu drogę i ukazując pęczek kwiatków pomiętych i zwiędłych, prosiło aby je kupił. Wilhelm pokazał jej wzamian swój bukiej. „Nie potrzebuję twoich nędznych kwiatków, mam przecież piękniejsze.” A ona ze łzami w oczach szepnęła: „Cóż teraz moja biedna matka jeść będzie?”

Wtedy on, wzruszony głęboko, kupił podawany sobie pęczek, opłacając go hojnie, a swój bukiet rzucił na środek ulicy. Zaręcza też, że te powiędłe kwiatki były mu źródłem niewysłowionej rozkoszy...

Hrabianka powiada, że nie chce żyć, ponieważ życie nie ma dla niej wartości. Jej życie — zapewne, ale cóż zawinił biedny ojciec, że i on z rozpaczy umrzeć będzie musiał? Cóż zawinili ci wszyscy, których samobójca rzuca, aby sobie i tylko sobie samemu oszczędzić ciężaru życia? Zaprawdę— egoizm oburzający! A wiara, o której mówi Wilhelm, czyliż i ona jest niczem, jak i miłość? Ta wiara, która przedłuża życie poza grób i wyznacza mu cele tak święte i wielkie, iż sama ucieczka przed niemi jest już najwyższą zbrodnią samolubstwa?

Vrchlicki nie uląkł się przemawiania w kwestyi samobójstwa słowami, które od pewnego czasu straciły na wartości bardzo dużo, jeżeli nie wszystko — a nie uląkł się dlatego, że jest poetą. W poezyi błąkają się jeszcze czasami ideały „przestarzałe,” bo się błąkają i w duszach poetów.

Mieszka tam niekiedy wiara, gnieździ się miłość, wykwita nadzieja, dzięki tej czułej wrażliwości, którą sercom wyjątkowym daje natura, a która nie pozwala w sprawach życia brać góry zimnej rozwadze nad porywami i uczuciami. Dlatego to serca te „kochają za miliony,” dlatego krwawią się, gdy „gryzą,” ale dlatego wierzą, kochają i ufają. Któż wie, gdyby dzisiejsza „kultura,” tak pyszna ze swoich środków i celów, pozostawiła ludziom choć trochę serca, możeby nie uciekali od życia, zdolni do kochania...

Wilhelm z goryczą i szyderstwem wspomina Schopenhauera i jego filozofią pesymizmu. Ach, gdybyż to tylko jeden Schopenhauer pracował nad zatruciem ludzkości! Ci wszyscy, co w nauce konieczny krytycyzm przeszczepili na grunt życia codziennego, szli z nim ręka w rękę. I ci, co burzyli ołtarze, nie stawiając nic na ich miejscu, i ci, którzy wszystkie sprawy ludzkie puścili pod druzgocące koła humorystyki i śmiechu, i tamci, którzy zdzierali zasłonę ze wszystkich wstrętów i ran życia — oto budowniczy potężnego gmachu zwątpienia, goryczy, egoizmu, w którym ludzkość choruje ciężko, aż do utraty zmysłów i samobójstwa!

W miłości i w wierze widzi Wilhelm lekarstwo na tę straszliwą chorobę pesymizmu — w miłości i w wierze cel dla życia i niewyczerpane źródło jego powabów i rozkoszy. Nie myli się wcale! Idzie tylko o to, aby ludzkość przyjęła tak wskazane lekarstwo, jak je przyjęła hrabianka: „Chcę żyć, bo mam kogo i mogę kochać. A ty, nauczycielu i lekarzu, dlaczegóż sam chcesz umierać? Z egoizmem, który potępiasz, łączysz ohydę fałszu.”

Wilhelm, tak zagadnięty, rzuca się do nóg hrabianki z wyznaniem miłości. I oto oboje ocaleli — przez miłość.

Gdyby sztukę „Do życia” napisał dajmy na to Dumas, lub choćby tylko Sardou — zasypaliby nam uszy całym gradem frazesów bez duszy. Vrchlicki nie uląkł się jej, choć jest ona dzisiaj dogasającem tylko światełkiem, tłumionem przez fajerwerkowe blaski nowych, coraz nowszych, coraz krzykliwszych, och, i coraz modniejszych teoryj.

A przecież są niezawodnie w uczuciach i rozumach ludzkich pewne rzeczy, które miewają trwałość niespożytą i które, jak granity, ostaćby się winny śród tej nawałnicy teoryjnej. Któż wie, może takiemi właśnie rzeczami są środki antipesymistyczne, wskazane przez poetę?...

Rz

Emil Vacano.

TESTAMENT MOJEGO STRYJA.

NOWELA

przełożyła

WŁ. I.

I.

Nie wierzę w duchy i nie posiadam zdolności odkrywania plam krwawych na ścianach siedzib oddawna nie zamieszkałych.

Urodzony w Norymberdze, przesiadywałem w latach dziecięcych długie wieczory zimowe na kolanach Lizy, naszej starej służącej, która mi opowiadała historye ..żnego rodzaju, a między innemi o złośliwej królewnie z jabłkiem zatrutem w ręku, o ludojadzie, jego żonie i małym domku, w którym się ów potwór ukrywał. Podczas tych opowiadań, desenie na obiciu pokrywającem ściany pokoju mieszały się przed memi oczami, przybierając kształt żywych postaci; a pośród zmierzchu zwolna ogarniającego izbę, widziałem wszystkie potwory z opowiadań niańki przechadzające się żywo wzdłuż murów.

Wszak urodziłem się w Norymberdze, tam gdzie, rzec można, umarli chodzą między żyjącymi. To okno owalne jest tem, przez które niegdyś Albert Dürer wyglądał na ulicę. Temi wydrążonemi, porozpadanemi, mchem i trawą obrosłemi wschodami wchodził Eppelin Geilingen na swe zaślubiny. W tym oddalonym zaułku, z frontami zabrudzonych starych kamienic, Fugger został zamordowanym.

Przez kogo?

Ha! jedynie głowy lwów rzeźbionych z kamienia przed bramą tej dzisiaj starej i zaniedbanej rudery mogłyby powiedzieć.

Kryją one jednak pilnie swą tajemnicę i nie wydadzą jej nigdy! W składach i magazynach Norymbergi większość przedmiotów posiada „własną swą fizyognomią."

Młotki przy bramach domów, moździerze, mosiężne dzwonki przy sankach, imbryczki do kawy, lalki, pierniki, przypatrzmy się im uważnie... poruszają się one, przybierają żywe postacie i wykrzywiać się zdają.

Ja od dzieciństwa patrzyłem na wszystkie te widma. Mimo to jestem młodzieńcem rozsądnym, poważnym i nie ekscentrycznym bynajmniej. Nazywam się Erwin Imhof.

Uczęszczałem na kursa uniwersyteckie w Heidelbergu, zajmując się przeważnie literaturą. Jestem sam na świecie. Dobra moja ciotka, która w młodości kochała tkliwie oficera landwery i nie pocieszyła się do zgonu po stracie tego człowieka, pozostawiła mi spadek wystarczający na skromne utrzymanie.

Zrazu pragnąłem zostać adwokatem, niepodobna mi jednak było wygłosić żadnej obrony.

Tłum publiczności, sędziowie i szmer panujący w sali, odbierając mi odwagę, sprawiali nieopisany zamęt w moim umyśle.

A co mnie najwięcej mieszało, to widok nieszczęśliwego klienta, którego oskarżać lub bronić musiałem.

Bladość jego twarzy i śmiertelna trwoga, zdająca się wstrząsać całem jego ciałem, ściskały mi piersi, głos w gardle tłumiły, albo, przeciwnie, zuchwałość zbrodniarza niewysłowienie mnie przygnębiała.

Nie mogąc z przytoczonych powodów być adwokatem, postanowiłem zostać uczonym erudytą.

Lubiłem marzyć, przechadzając się pośród starych grobowców. Przenosiłem się myślą natenczas w owe pośmiertne pałace Egipcyan, dokąd powietrze przenika zaledwie i gdzie panuje wiecznie nienaruszone milczenie. Chodziłem wszędzie, ucząc się, decyfrując, odkrywając napisy z czasów Attyli, sarkofagi córek królewskich, których to niegdyś tak piękne oblicza dziś toczy robak zniszczenia.

I zacząłem przygotowywać trzy grube tomy o pierścieniach, mieczach i metalowych łańcuchach wykopywanych z grobowców niemieckich, oraz dwa mniejsze, obejmujące napisy na kwiatach lotusu malowanego na czołach mumij Egipskich.

Następnie rzuciłem się chciwie do wertowania procesu czarownic z siedmnastego stulecia, zagrzebując się pomiędzy peruki sędziów, kropielnice księży, w cały las rękojeści od mioteł, ponad któremi pryskały trzeszcząc i iskrząc katowskie pochodnie. Sądziłem, że imię moje ztąd całemu uczonemu światu znanem już zostało.

Pokoik mój w Heidelbergu, wapnem wybielony, miły był i schludny.

Stara Eliza okurzała codziennie książki i czyściła meble. Mały Janek z restauracyi pod Lwem przynosił mi obiad.

W piękne wieczory letnie chodziłem na przechadzkę daleko, daleko, poza pola i wody i późno wracałem, w nocy sypiając wybornie. W zimie jednakże przechadzać się nie lubiłem i lampa moja płonęła wtedy długo po północy, a przy jej świetle zagłębiałem się w historyi czarownic.

Wstając od tej pracy, czułem się mocno zdenerwowanym i widywałem, jak w latach dzieciństwa, poruszające się na ścianach mego pokoju osoby z opowieści starej mej niańki. Nie było przedmiotu aż do zamku od drzwi, któryby nie przybierał wtedy dla mnie fizyognomii żyjącej istoty.

— Pochodzi to ztąd, że żyjesz samotnie—mówił mi jeden z dawnych moich przyjaciół, który w przejeździe przez Heidelberg przyszedł mnie odwiedzić wraz z młodą swą żoną.—Trzeba się zakochać, mój chłopcze — dodał wesoło, — a wtedy twe nerwy uspokoją się, załóżmy się o to. Nie jestże to wstydem i grzechem — mówił dalej, — by młody, piękny, pełen siły i zdrowia mężczyzna nie napisał dotąd ani jednego wiersza do młodej dziewczyny i nie oznaczył dnia swoich zaślubin?

— Cistarzy kawalerowie, pokryci pyłem książkowym, prawdziwe biblioteczne szczury, nie myślą o ożenieniu się aż wtedy, gdy im dokuczać zacznie podagra; wówczas dopiero poczynają być uprzejmymi dla kobiet, gdy im gospodyni dokuczać zacznie w przystępie złego humoru. Zapominasz widzę, że kończysz rok dwudziesty piąty i że jesteś o tyle urodziwym, iż mógłbyś zawrócić głowy conajmniej tuzinowi dziewcząt. Do widzenia więc — mówił, odchodząc, — a gdy powrócę, pamiętaj mi nawzajem przedstawić swą żonę, inaczej znać ani widzieć nie chcę cię wcale!

W rzeczy samej, kończyłem rok dwudziesty piąty.

Zostawszy sam, zapaliłem lampę i zatrzymałem się przed zwierciadłem, idąc w stronę stolika na którym oczekiwał mnie piąty rozdział „Piekielnego Proteusza."

Stanąwszy przed lustrem, oświetlonem blaskiem lampy, spojrzałem na siebie.

Pięknym? być może... Byłem mocno blady, z dużemi ciemnemi oczami i włosem rozrzuconym w nieładzie. Mimo to, nie ośmieliłbym się nigdy powiedzieć kobiecie że ją kocham, bo też i żadnej nie kochałem jeszcze.

Na ulicy wiatr świszczał, miotając płatami spadającego śniegu. Dwaj studenci w aksamitnych czapeczkach z zapalonemi fajkami przechodzili właśnie, śpiewając jakąś wesołą piosenkę. Słuchałem, potem, ustawiwszy lampę na stole, przygotowałem pióro i zasiadłem do swego „Proteusza."

Przez trzy godziny nie podnosiłem głowy od papieru, wreszcie litery moje zaczęły zwolna przybierać kształty rękojeści mioteł od zamiatania i poręcz mojego krzesła poczęła również mieć swoję fizyognomią.

Złożyłem pióro.

II.

W kilka dni potem odebrałem list od mojego stryja, doktora Irneryusa. Był on lekarzem, rodzice przeznaczyli go medycynie, wolał jednak zostać dyrektorem muzyki.

Mój stryj był zapalonym melomanem. W jego skrzypcach żyła dusza Palestriny, Van Arminga, Stradelli. W młodości dyrygował w Londynie koncertami „Georgiano." Intrygi i fałszywe głosy Anglików niezadługo jednak ztamtąd go wygnały.

Uciekł, zostawszy dyrektorem opery włoskiej w Wenecyi. Medyolan i Neapol dobrze go znały; mówiono że zaślubił tam primadonnę, Włoszkę ze szlachetnej rodziny.

Odtąd ani świat, ani my nie słyszeliśmy o nim więcej. Kiedyś mówił mi ojciec, że mieszkał on w Worms, wdowcem czy żonatym—niewiadomo, to jednak pewna, że samotnym mizantropem. Mój ojciec pisał do niego kilkakrotnie, doktór Irneryus odpowiadał, wkońcu nareszcie korespondencya ta ustała zupełnie.

Odebrany list teraz przypomniał mi, że nie sam byłem na świecie.

Był on kreślony krzywemi, powykręcanemi literami, jak gdyby drżącą stawianemi ręką, a brzmiał jak następuje:

„Kochany Erwinie!

„Zestarzałem się i czuję, że wkrótce umrzeć mi przyjdzie. Pragnę ażebyś do mnie przybył, ponieważ mam wiele z tobą do pomówienia. Wiem że żyjesz samotny i jesteś wolny. Opuść swe mieszkanie, zabierz z sobą wszystko co posiadasz, ponieważ chcę ażebyś dłużej pozostał u mnie.

D-r Irnerius."

Mogę czas spędzać, marząc o rękojeściach mioteł czarownic zarówno dobrze tu jak i w Worms, po-

myślałem sobie, zresztą, wychowany w poszanowaniu związków rodzinnych, odezwę stryja bardzo ceniłem.

Stryj Irneryus stanowił dla mnie potęgę wyższą nad ojca mojego, żyłem samotnie, mogłem dowolnie rozporządzać sobą. Załatwiwszy się przeto z mieszkaniem, zapakowałem rzeczy i wysłałem do Worms, a wkrótce potem wyruszyłem w drogę. Było to podczas pięknych dni lata, w porze gdy krzaki różane były w pełnym kwiecie, postanowiłem przeto podróż odbyć pieszo. Przechodziłem okryte zielonością równiny, wdrapywałem się na wzgórza; wypoczywałem w cieniu lasów, gdzie promienie słoneczne, przedzierając się przez gąszcz liści, ozłacały grunt kwieciem zasłany.

Nocowałem w przydrożnych oberżach, chroniąc się tam zarówno przed skwarem południa zkąd widziałem kępy drzew i bukiety kwiatów, słysząc brzęczenie pszczół pod oknami.

Och! jak przyroda jest piękna! Wtedy to już nie widziałem wokoło siebie potwornych żyjących fizyognomij, lecz świeże buziaki dzieci wiejskich, spoglądających na mnie nieśmiało i kryjących się za bliższem ku nim przystąpieniem.

Niekiedy okolica bardziej się smutną stawała; nadeszły dnie ponure i dżdżyste bez blasku.

Niebo ciemne, ołowiane uciskało mi duszę, sosny nad brzegiem drogi rosnące gięły się z szumem pod falą wichru, a pogoda zdała się niknąć na zawsze.

Szczęśliwym się przeto uczułem, ujrzawszy dnia pewnego wieże kościołów w Worms. Wtedy to atmosfera ciężka i szara, ciążąca nad całą okolicą, mniej mi się przykrą zdawała.

Przechodząc koło tartaku, gdzie ciężkie pnie dębowe podnoszone były z głuchym hałasem przez grube łańcuchy maszyny, złączyłem się z wychodzącym ztamtąd człowiekiem, który podążał ku miastu. Pozdrowił mnie on, a idąc razem, rozmawialiśmy swobodnie. W pobliżu na zielonej polance wznosił się krzyż drewniany z napisem, całkowicie prawie przez deszcze obmytym. Na płaskiej blasze poniżej krzyża gruby rysunek przedstawiał broczącego w krwi człowieka, a pod nim napis w grubych niekształtnych literach:

„Tu zginął Jan Dorn, 17 Czerwca 1807 roku."

Zatrzymaliśmy się przez chwilę.

— Czy człowiek ten umarł śmiercią przypadkową?— pytałem towarzysza.

— Nie — odpowiedział, wyjmując z ust fajkę,— znaleziono go leżącym bez życia, z twarzą chustką nakrytą. Krew broczyła mu skronią, zdaje się, że został zamordowanym.

— Nie wyśledzono przez kogo?

— Nie, panie.

Szliśmy dalej drogą w milczeniu. Czyn ten morderczy, który uszedł bezkarnie, gnębił mnie ciężko. Rozmyślałem nad tem, podczas gdy wzrok mój tonął w okalającym mnie zmierzchu. Wyobrażałem sobie, że czynię poszukiwania zbrodniarza ponad brzegiem samotnych stawów lub w chatach wiejskich, albo oberżach miasta.

Halucynacya ta przytłaczała mi piersi i drażniła nerwy. Wobec tego pragnąłem, aby mieszkanie mego stryja było domkiem białym, wesołym, położonym na pryncypalnej i pełnej ruchu ulicy.

Worms jest miastem starożytnem, zapadającem zwolna w ruinę. Woda płynąca z miejskich wodotrysków przelewa się przez głowy morskich potworów. Ponad bramami domów widnieją napisy kamienne. Dachy szpiczasto zakończone, a ulice wązkie i nieregularne. Wśród wieczornego zmierzchu rozpocząłem poszukiwanie domostwa i odkryłem je wreszcie w końcu ciemnego wązkiego zaułku. Domek ten zdał się być wciśniętym między dwie wysokie kamienice. Front jego był szary, pyłem i kurzem okryty.

W ramach okien facyaty rósł mech i zielsko, a na szczycie dachu skrzypiała chorągiewka.

Zadzwoniłem i stary sługa zgarbiony, siwizną okryty otworzył bramę, lecz wejść mi nie pozwolił, dopóki nie wymieniłem swego nazwiska. Wtedy, cofnąwszy się w głąb ciemnego korytarza, wskazał mi ręką drogę na wschody, trzeszczące za każdem stąpieniem, a zatrzymawszy się w końcu pasażu:

— Oto drzwi — wyrzekł, — zaczekaj pan nieco.

Wkrótce rozeznałem w półcieniu kształt czworokątny; były to drzwi przez które wyszedł służący.

Światła nie było widać wcale, słyszałem tylko rozmowę wewnątrz. Niezadługo przez szpary drzwi światło zabłysło.

— Wejdź pan — rzekł sługa, ukazując się w progu.

Wszedłszy, dojrzałem jedynie zrazu lampę na stole płonącą, później dostrzegłem starca żółtego, pokrytego zmarszczkami, w długim czarnym szlafroku, z siwemi w pukle pozwijanemi włosami, siedzącego w fotelu; na stole leżały rozrzucone kajety muzyczne.

Spojrzał na mnie ciemnemi przygasłemi oczami, nie mówiąc ani słowa.

— Dobry wieczór, stryju — wyrzekłem, kładąc na stole kapelusz, — otóż przybyłem.

— Bagaże twoje już nadesłano — odpowiedział, poczem spojrzał na mnie powtórnie, a podając mi rękę:

— Witam cię — wyrzekł,— rozgość się, proszę. Franciszek zaprowadzi cię do twego pokoju, poczem powrócisz tu na wieczerzę. Jesteś zapewne znużony, wypocznij nieco.

— Zastosuję się we wszystkiem do życzeń stryja — wychodząc, odpowiedziałem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z DZIEDZINY
NAUKI I WYNALAZKÓW.

Mniemane uśmierzanie fal zapomocą oleju lub oliwy.— Walka drzew leśnych o byt, powstawanie lasów dębowych i ich losy. — Wpływ alkoholu na ustrój dziecinny. — Ochrona sadów wiśniowych od spustoszeń owadu Spilographa Cerasi. — Sposób wytępienia chrabąszczów.

(Dokończenie).

W ostatnich latach odznaczył się wielkiemi spustoszeniami w sadach wiśniowych, szczególnie w mieście powiatowem Guben w Brandeburgii, owad zwany w języku naukowym *Spilographa Cerasi*, który w braku ustalonej nazwy polskiej nazwiemy wiśniówką.

Doktór Frank zbadał sposób jego życia w ogrodzie doświadczalnym królewskiej wyższej szkoły rolniczej, ogłosił w bieżącej jesieni ich wypadki i wskazał środki do ochrony wisien od tego szkodnika; środki te mogą się przydać i dla nas.

W Lipcu 1890 roku Frank zebrał pewną ilość gąsiennic wiśniówki, umieścił je w skrzynkach napełnionych ziemią i przykrytych dzwonami szklanemi i pozostawił na całą zimę na otwartem powietrzu w ogrodzie. Gąsiennice wkrótce zakopały się w ziemię, zamieniły w poczwarki i przetrwały w tym stanie aż do końca Maja b. r. Ostatniego Maja zaczęły się wydobywać z poczwarek owady skrzydlate, których liczba w początku Czerwca zwiększyła się znacznie.

Czas wylęgania owadów skrzydlatych, to jest doskonałych, zgadza się zupełnie z porą dojrzewania owoców na wiśniach; latające owady wyszukują te owoce i składają w nich swoje jajeczka, z których wylęgają się gąsiennice, za czem idzie opadanie robaczywych owoców.

Dalsze badania doktora Franka okazały, że wiśniówka składa swoje jajeczka nietylko w wiśniach, ale i w jagodach wiciokrzewu (Lonicera), tylko w tym razie owady skrzydlate ukazują się o trzy dni później.

Z doświadczeń powyższych wynika, że dla ochrony sadów wiśniowych należy zbierać i niszczyć opadłe owoce, zanim gąsiennice z nich wyjdą i zakopią się w ziemi, jak również okopywać w jesieni ziemię naokoło drzew, a nareszcie wyrzucić z sadu krzaki wiciokrzewu, którego sąsiedztwo jest równie szkodliwe dla wisien, jak sąsiedztwo berberysu dla roślin zbożowych.

* * *

Wiadomo jaką plagą dla naszych ogrodów i pól są chrabąszcze, które w stanie doskonałych, latających owadów objadają liście drzew, a w stanie gąsiennicy mają postać wielkich, białych robaków, zwanych pędrakami, i żyjąc w roli, podgryzają korzonki uprawianych w niej roślin. Obecnie mamy już skuteczny sposób niszczenia tych szkodników.

Istnieje grzybek pasorzytny, zwany Botrytis tenella, mający postać pleśni białego koloru. Grzybek ten pojawia się niekiedy na ciele pędraków, które wtedy niechybnie zdychają. Cała więc sztuka wytępienia chrabąszczów polega na tem, aby wytworzyć zapas zarodników tego zabójczego grzybka i wywołać sztucznie śmiertelną epidemią na całym obszarze, zajętym przez pędraki. Przygotowaniem tych zarodników zajmują się w Paryżu chemicy Fribourg i Hesse zapomocą sztucznej hodowli, prowadzonej metodą Pasteura, a wyhodowane zarodniki czyli spory chętnie dają na żądanie stacyom rolniczym, a nawet osobom prywatnym, pragnącym robić doświadczenia.

Mając zarodniki grzybka, bierzemy półmisek fajansowy albo gliniany, sypiemy na jego dno warstwę ziemi lub piasku, grubą na centimetr i lekko zwilgoconą, umieszczamy na niej setkę pędraków wyszukanych w roli, potem proszkujemy w palcach pewną ilość zarodników, posypujemy tym proszkiem robaki i cały półmisek ustawiamy w ziemi w miejscu zacienionem i chłodnem. Jeżeli przy proszkowaniu pozostanie pewna ilość grudek nieroztartych, wtedy mieszamy ją z roztartą ziemią i sypiemy na robaki jak roztarty proszek. Ustawiwszy półmisek, przykrywamy go deseczkami, na których rozpościerają się następnie mokre ścierki, albo lepiej zmoczony mech.

Po 24 godzinach wszystkie pędraki będą zarażone, a wtedy należy je rozsadzić pojedynczo w roli, wybierając zwłaszcza te miejsca, w których jest najwięcej zdrowych gąsiennic, a po upływie krótkiego czasu epidemia ogarnie całe pole i wszystkie pędraki w niem wyginą.

Doświadczenia stwierdziły, że przytem ani rośliny uprawiane na tej roli, ani żyjące w niej i na niej zwierzęta żadnej nie doznają szkody.

Mają więc rolnicy już teraz pewną broń do walki z tak szkodliwym wrogiem. Idzie tylko o zrozumienie własnego interesu, o jedność działania i wytrwałość i dlatego jesteśmy pewni, że Francuzi i Niemcy wytępią u siebie chrabąszcze co do nogi. A my? No, my nie będziemy tak okrutni!

W. S.

Z chwili bieżącej.

* **Bazar rzemieślniczy** jest jednym z tych płodów naszego życia społecznego, które rodzą się, rodzą, rodzą a urodzić się nie mogą.

Ta okoliczność gwałtem wprowadza na myśl, że wbrew wszelkim teoryom, projekt bazaru nie ma chyba w sobie siły żywotnej, warunków bytu, albo ich nie ma w sobie nasz świat rzemieślniczy, skoro się na wartości dla siebie tego projektu poznać nie umie. Żeby wszystkich naszych rzemieślników razem wziętych nie stać było na złożenie 10,000 rs., celem dźwignięcia instytucyi, zapewniającej im namacalne korzyści, w to uwierzyć niepodobna! Jest w całej tej rzeczy coś fałszywego, jakieś nieporozumienie, uprzedzenie; może apatya a może i —nawyknienie do żebraniny. Żebranina, spopularyzowana przez filantropią, weszła u nas w modę; ba! wsiąkła już zdaje się w krew naszę. Przyzwyczailiśmy się oglądać we wszystkiem na dobrodziejów, którzyby za nas nałożyli pieniędzmi; nauczyliśmy się żyć z jałmużny. Zdaje się tedy, że i świat nasz rzemieślniczy ogląda się za tem w sprawie bazaru.

No i pokazało się, że się nie darmo oglądał: Scheiblerowie rzucili mu 500 rs. jałmużny. Inaczej tego nazwać nie można, boć Scheiblerowie żadnego własnego interesu w „Bazarze rzemieślniczym" nie mają.

Niech będzie co chce, dość, że „bazarczykom" brakuje już tylko do szczęścia.. to jest do uzupełnienia sumy potrzebnej na założenie bazaru 1000 rubli.

Żeby tak udało się wyrobić u odnośnej władzy pozwolenie na zbieranie kwesty po domach, możeby się użebrało w końcu tę sumkę. Poszłoby to tem łatwiej, iż rzemieślnicy nasi, żebrzący na swój „bazar," mogliby za kwestą własnemi jeździć karetami...

* **Nagrody dla wiernych sług,** z zapisu Józefa Zacharkiewicza, niezadługo przypadną do rozdania.

Podania przyjmuje Rada miejska dobroczynności publicznej najdalej do dnia 16 Stycznia roku przyszłego.

Nagród są trzy: 1-sza rs. 150, za 20 lat wiernej służby; 2-ga rs. 75, za lat 15; a 3-cia rs. 45, za lat 10. Ta ostatnia cyfra jest charakterystyczna; dawniej, kiedy wierna służba liczyła się na setki lat, bo pokolenia jedne po drugich jednym po drugich pokoleniom służyły, dziesięć lat służby nie miało żadnego znaczenia, żadnej zasługi; poczciwy sługa byłby się wstydził brać za taką bagatelkę zapłatę. Dzisiaj, kiedy przeciętny czas służby u jednych chlebodawców waha się między kwartałem a miesiącem, dziesięć lat równa się niemal wieczności i słusznie 45 rublami bywa wynagradzane. Tylko stopniowanie w nagrodach zdaje się być niezupełnie trafnie zestosunkowane: jeśli 10 lat służby warte są dziś 45 rs., to 20 lat nie 150, ale 150,000 rs. powinnyby być wynagradzane, a to tem bezpieczniej, że chyba, przy ścisłej kontroli dokumentów, nie byłoby kandydatów do tej nagrody.

* **Amatorkom i amatorom spirytyzmu,** na teraz bez żadnych komentarzy, donosimy że w Warszawie zawiązuje się towarzystwo spirytystów, którego „seanse" mają posłużyć do badań i obserwacyj naukowych. Dla nauki jesteśmy z całym szacunkiem, ale do przystępowania do Towarzystwa spirytystycznego zachęcać nie mielibyśmy ani odwagi, ani ochoty...

* **Le roy est mort, vive le roy!** Stary „Zwierzyniec" zakończył żywot ciężkim, powolnym a dla wielu bolesnym zgonem... Chociaż źle go nazwaliśmy *starym*—był on młodyjeszcze, nawet bardzo młody, tylko że przyszedł na świat bez kwalifikacyj koniecznych do życia, więc umrzeć musiał. Zdawałoby się, że niefortunne jego losy nadługo odstraszą od nowej próby powoływania go do życia, tymczasem stało się podobno inaczej. Słyszymy i czytamy wieść, jakoby Towarzystwo ogrodnicze w przyszłym swoim ogrodzie miało zamiar wskrzesić „Zwierzyniec," z którego założenia myślą nosiło się już przed dziesięcioma laty, tylko zaniechało jej wobec tworzącej się spółki pod kierunkiem p. J. M. Kamińskiego.

Wprawdzie *flora* i *fauna* to siostry rodzone, ale wątpimy, czy ta spółka siostrzana lepsze przed sobą będzie miała widoki powodzenia, aniżeli jej akcyjna poprzedniczka.

Bogiem a prawdą, nieboszczyk Zwierzyniec nikomu korzyści nie przyniósł, chyba jednym — Syngalezom, ponieważ zaś wątpimy, żeby ogrodnicy nasi w Syngalezów bawić się chcieli, więc i ten jedyny pożytek z programu swego wykreślić będą musieli.

„Zwierzyniec" *alias* „Ogród zoologiczny," aby się na co przydał, aby miał rzeczywiście wartość naukową, wymaga wielkich nakładów, zarówno na założenie, jak na utrzymanie swoje; inaczej wpadnie koniecznie w to, co Francuzi *meskineryą* nazywają.

Ogrody takie zakładane też i utrzymywane bywają kosztem publicznym i jako takie nie oglądają się na mniejszą lub większą frekwencyą publiczności.

Jak prywatny przedsiębiorca teatralny musi ciągle myśleć o zmianach, o odświeżaniu repertuaru, chcąc mieć jakotako teatr zapełniony, tak prywatne przedsiębiorstwo ogrodu zoologicznego musiałoby bezustannie pomnażać gromadę swoich dzikich pupilów, aby zawsze mieć jakąś przynętę, jakąś *great attraction* dla publiczności, a to i nieproporcyonalnie dużoby kosztowało i, doszedłszy do pewnego kresu, stałoby się nadal czystem niepodobieństwem.

Piszemy to w najlepszej myśli, zeszczerej życzliwości dla naszych „ogrodników," którzy pożyteczną swoją działalnością, w *swoim* zakresie, na wszelkie uznanie i sympatyą zasługują. Niechby jednak pamiętali o tem naszem przysłowiu, które coś tam mówi o dwóch srokach, ajednym ogonie.

* **Nowy użytek z lornetek.** Przyrządy zwane lornetkami, które dotąd pełniły służbę prawie wyłącznie w teatrach, mają znaleźć zastosowanie również na kolejach żelaznych. Mają w nie być mianowicie zaopatrzeni maszyniści, celem lepszego rozpatrywania drogi przed pociągami.

U nas na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zarządzono odpowiednie próby. Zdaje się, że pomysł ten powinienby się okazać praktycznym i lubo naturalnie podczas mgły, zawieruchy i tym podobnych zjawisk atmosferycznych nie tylko lornetka, ale teleskop nic nie pomoże, w dni pogodne innowacya ta zwiększyłaby w każdym razie możność uchronienia pociągów przed niejedną katastrofą.

* **Dobry pomysł,** daj Boże tylko żeby się udał. Jeden z piekarzy tutejszych zamierza wypiekać chleb bardzo tani, bo po 3 kopiejki funt, z materyałów, których skład jest dotąd jego tajemnicą. Obecnie odbywają się próby wypieku, który naturalnie po przejściu tej rzeczywiście *ogniowej* próby przejdzie jeszcze przez inną, a mianowicie przez analizę władzy czuwającej nad zdrowiem publicznem.

Gdyby jednak udało mu się jedną i drugą przebyć zwycięzko, imię jego wynalazcy zapisalibyśmy na liście dobroczyńców głodnych żołądków.

G. Cz.

* **Ludwika de Marillac,** założycielka, wspólnie ze św. Wincentym a Paulo, kongregacyi sióstr miłosierdzia, ma zostać przez Kościół beatyfikowaną, do którego to aktu uświęcenia czynią się już przygotowania. Ludwika urodziła się w roku 1593, umarła w 1660 r. w Paryżu.

Proces beatyfikacyjny, rozpoczęty w dniu 2 Kwietnia roku 1836, ukończono dnia 18 Grudnia roku zeszłego.

Akta procesu, odesłane do Rzymu, uległy ścisłemu przeglądowi, poczem nastąpi proces tak zwany „apostolski," już zapowiedziany. Ostateczna decyzya co do kwalifikacyi należy do Ojca św.

Ubłogosławienie Ludwiki de Marillac stanowić będzie także opromienienie nowym blaskiem kongregacyi „siostrzyczek," tych aniołów ziemskich, przed któremi chylą się czoła z czcią i wdzięcznością.

* **Zaćmienie księżyca** obserwowano w Warszawie tydzień temu, w nocy z niedzieli na poniedziałek. Dla naszego miasta zaczęło się ono o godzinie 11 minucie 59, skończyło zaś o godzinie 2 m. 25.

Punkt kulminacyjny zaćmienia przypadł na godzinę 1 minutę 45. Było ono *całkowite*, a więc nieczęsto widywane. Księżyc, przy zupełnem zaćmieniu, wyglądał jak tarcza ciemna, zabarwiona na czerwono. To zabarwienie pochodziło od światła ziemi, która, przysłaniając księżyc, jednocześnie udzielała mu części swojego blasku.

Dzięki pogodzie i czystemu niebu, zjawisko można było widzieć dokładnie.

W roku przyszłym, w dniu 4 na 5 Listopada, przypadnie także zaćmienie całkowite księżyca, widzialne dla Warszawy.

Redakcya „Tygodnika mód i powieści" przyjmuje interesantów w sprawach literackich wyłącznie w poniedziałki i czwartki, między godziną 12—2 z południa.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

NOWO-OTWORZONY

większy Magazyn Sukien, Okryć i Strojów damskich

1—3

L. RIVIÈRE,

w Warszawie, Nowy-Świat Nr 12.

Wykonywa obstalunki z materyałów powierzonych i własnych. Krój wytworny, gust wykwintny, wykończenie eleganckie. Ceny wyjątkowo nizkie.

Za fason sukni wełnianej rs. 8,
„ „ „ jedwabnej „ 10.

Modele kapeluszy paryzkie.

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencya Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.

skład mat. aptecznych

Trzciński, Urbanowicz i Różycki,

Krakow.-Przed. 17

wprost kościoła po-Karmelickiego, w WARSZAWIE.

CENY NIZKIE. W NAJLEPSZYM GATUNKU.

CHMIELNA 30

(na parterze od frontu).

SZKOŁA KROJU I SZYCIA

zatwierdzona przez władzę, oryginalnym systemem

1—13

WORTH'A

pod firmą

A la Parisienne,

oraz

Pracownia Sukien, Okryć damskich i Ubrań dziecinnych.

Chmielna 30,

między Marszałkowską a Bracką.

Przyjmują się Pensyonarki. Przyjmują się Pensyonarki.

Przy fabryce kwiatów

„IRYS"

1—6 ***ul. HOŻA 14***

ZAŁOŻONA PRACOWNIA

Sukien i ubranek Dziecinnych

„Janiny"

która poleca się Sz. Klijenteli eleganckiem konczeniem i cenmi przystępnymi.

Naczynia Kuchenne Emaljowane.

Maszynki do kawy najlepszej konstrukcyi. Maszynki do mięsa **„Perfection."** Wyżymaczki **„Empire."** Noże, tasaki. **Umywalnie od rs. 4 k. 50** składające się z stoliczka, miski, dzbanka i porte-chambre, poleca najtaniej **Skład Hurtowo-Detaliczny, GRANICZNA 13.** 1305—12

SKŁAD PŁÓTNA, HAFTÓW I BIELIZNY
A. W. WILCZEWSKIEGO,

Nowy-Świat 57.

POLECA W WIELKIM WYBORZE:

Płótna Holenderskie, Angielskie i Kostromskie — bielone na trawie (nie chlorem.) ***Bieliznę stołową*** Holenderską i Kostromską od najlepszych gatunków. ***Bieliznę gotowę*** Męzką i Damską Najlepszego kroju wykończoną starannie podług najświeższych modeli. ***Chustki*** do nosa płócienne i batystowe. ***Pończochy*** francuzkie białe i kolorowe. ***Hafty*** francuzkie i szwajcarskie. ***Madapolamy, Creton-, Perkale, Półbatysty, Barchcny, Pół-płótna, Kawtaniki*** i ***Kalesony*** wełniane etc. etc.

Całe wyprawy wraz ze znaczeniem od 200 rubli.

CENY NAJNIŻSZE, ŚCIŚLE STAŁE. 1631- 3

SPECYALNY MAGAZYN FUTER I OKRYĆ DAMSKICH

145 6—6 przy ulicy Niecałej № 14

JÓZEFA SKWARY.

PIERWSZY DOM OD OGRODU.

Poleca **wielki wybór okryć** na sezon bieżący w najświeższych fasonach podług ostatnich modeli osobiście z pierwszorzędnych domów sprowadzanych i wykonywanych przez krawców specyalistów a zarazem **przy magazynie okryć otworzyłem oddział materyałów bławatnych na suknie i okrycia** od skromnych do najwykwintniejszych, po cenach niepraktykowanie nizkich, jak np. materyały z czystej wełny od 40 kop.

WARSZAWSKI ZAKŁAD RYTOWNICZY

Senatorska № 8 w Warszawie,

wprost b. szkoły junkierskiej. 146 3—6

Wykonywa wszelkie roboty w zakres grawerstwa wchodzące, jako to: herby, stemple, monogramy, facsimile do laku i tuszu, rysunki, monogramy i herby **do znaczenia bielizny** i t. p. **Ceny stałe, nizkie.**

W nowej szkole rzemiosł dla kobiet

nagrodzonej najwyższym medalem na Wystawie petersburskiej pracy kobiet

A. KORYCIŃSKIEJ.

Krakowskie-Przedmieście N-r 17.

Rozpoczynają się kursy: kroju sukien, bielizny, szycia, strojów, kwiatów, pończosznictwa, koronkarstwa, haftu, rękawicznictwa, krawatów, szmuklerstwa, robót włóczkowych, tkanin, rysunków, litografii, grawerstwa, retuszeryi, heliominiatur, malowania, wypalania na drzewie, skórze, koszykarstwa, introligatorstwa, terrakoty. Świadectwa wydaje. Pensyonarki przyjmuje.
159 3—3

M[me] LUCIE.

Czesze elegancko Panie u siebie i na mieście.

Zgoda 5, miesz. 2. 141 5—6

Kwiatów pięknych wyuczam w krótkim czasie rs. **5** miesięcznie. 1—3

OGRODOWA Nr 8, m. 5 na dole.

NOWO-OTWORZONA

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

138 5—6

WANDY

Bracka 17, w Warszawie.

Przyjmuje suknie nowe, wizytowe, kostiumy, okrycia, sortie de bal, wykończając takowe jak najakuratniej, podług najnowszych żurnali. Ceny przystępne.

Nowo otworzona pracownia sukien

ROMANY

NIECAŁA Nr 4. 142 5—5

Wykończa suknie, okrycia podług najświeższych modeli paryzkich tak ze swoich jakoteż i powierzonych materyałów. Ceny możliwie nizkie. Suknie wykończają się w przeciągu 24 godzin. Tamże przyjmują się uczennice na naukę kroju i szycia na stałe i przychodnie.

Najnowsza czytelnia

kilka tysięcy tomów do wyboru miesięcznie **kop. 40,** kwartalnie **rs. 1,** przy księgarni **A. Kleinsingera, Marszałkowska Nr 123** (róg Siennej) w Warszawie. 2—4

ZAKŁAD

POŻYTECZNYCH ZAJĘĆ DLA DZIECI

Julii Unszlichtówny,

Tłomackie 13.

Przyjmuje zapis dzieci od lat 4-ch do 7-miu.

141—4—8

Pracownia sukien i okryć damskich

1494—10 ***NATALJI W.***

Nowy-Świat Nr 40, I piętro od frontu.

Przyjmuje suknie okrycia i wierzchy do futer podług najnowszych modeli, po cenach przystępnych.

D-r Med. ADOLF KOZERSKI,

1112—12

odbywszy praktykę szpitalną jako hospitant kliniki profesora Kaposi'ego w Wiedniu, udziela porady lekarskiej w chorobach skórnych i w... Od 1—2 przyjmuje wyłącznie kobiety.

Nr 3. PRÓŻNA Nr 3.

ZAKŁAD ANTYKWARYJNO GALANTERYJNY

K. KONDRATOWICZ i S-ka

w Warszawie, Nowy-Swiat 33.

Przyjmuje wszelką reperacyę przedmiotów starożytnych i nowych. 1295—10



MAGAZYN MÓD

FABRYKA KWIATÓW,

wielki wybór kapeluszy damskich

podług modeli paryskich poleca

WANDA SIWIŃSKA

Krakowskie-Przedmieście 61

wprost Resursy Obywatelskiej.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga **Plato v. Reussnera:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **Bez nauczyciela** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku **w 3-ch miesiącach,** po angielsku w **24 lekcyach.** Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60,— w oprawie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, **tylko 2 rs.** Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy elementarz polsko-niemiecki i rusko-niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop 35, 20 i 10. **Najnowszy elementarz polski** z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem **340 figur,** tudzież ze wskazówkami pedagogicznemi kop. 25 i 4. Powiastki **polsko niemieckie** 20 kop. Powieść **Ali-Baba i 40 zbójców** 15 kop. Powieść **Myśliwi Giemz** 10 kop. **Na przesyłkę pocztową** dopłaca się do każdego rubla po kop. 20. Skład główny u autora, (Pl. v. Reusnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie).

FRANCUZKA SZKOŁA RZEMIOSŁ

SZPITALNA Nr 3

(dawniej Mazowiecka Nr 11)

Wykład kroju systemu Laferiere i Wortha, szycia krawatów, gipiur, kapeluszy, derkowych i włóczkowych robót, haftu białego i artystycznego, malarstwa na porcelanie, jedwabiach, płótnie i glinie. Wydaję patenty, przyjmuję pensyonarki, dla praktycznych zajęć jest przy szkole pracownia sukien i okryć. 92—5—6

Pince-nez Okulary

najcelniejszych fabryk ściśle do wzroku zastosowane, **Lornetki, Termometry, Narzędzia chirurgiczne, Woreczki hygieniczne, Gąbki ochronne, Bandaże** i t. p. **najtaniej** w zakładzie Optyczno Elektrotechnicznym **Juljana Drehera,** ulica **Szpitalna Nr 6.** Tamże: **Dzwonki** elektryczne, **Piorunochrony, Telefony** najlepsze zakłada na żądanie po cenach umiarkowanych. Przyjmuje reperacyę. 1165—10

Cena rs. 5, zniżona na rs. 2.

Pisma Gabryeli (Narcyzy Żmichowskiej).

Wydanie zbiorowe w 5-ciu tomach z życiorysem autorki skreślonym przez ... Piotra Chmielowskiego, nabyć można z pozostałej jeszcze liczby egzemplarzy po cenie znacznie zniżonej w księgarni H. I. Rosenweina, Marszałkowska Nr 114 w Warszawie. Cena rs. 5 zniżona rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 50.

Дозволено Цензурою Варшава, 6 Ноября 1891 г.

Redaktor i Wydawca **Emil Skiwski.**

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.